

Tragikomiczna wojna pokoleń

RÓŻNIE



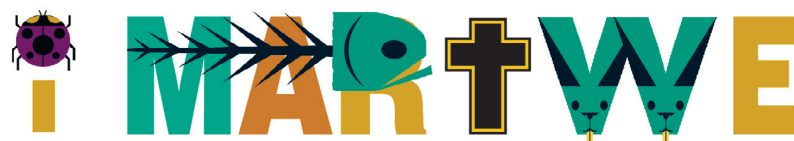
ZWERZĘTA



ŻYWE



I MARTWE



MARINA LEWYCKA

*Lewycka ma niezwykle dryg
do opisywania bohaterów*
Kultura.dziennik.pl

*Nigdy czytanie o poważnych
sprawach nie było tak zabawne*
The Economist

SERGE: *Młyn*

Cały świat popadł w obłęd, choć większość ludzi jeszcze tego nie widzi. Wszystko na pozór wygląda normalnie, ale Serge z każdym oddechem czuje delikatną nutę szaleństwa w powietrzu. Jest ósma rano, poniedziałek, pierwszy września 2008 roku, londyńska giełda właśnie otworzyła podwoje i wszędzie wokół niego zaczynają już tłoczyć się traderzy.

Parkiet banku Finance and Trading Consolidated Alliance przypomina ogromny młyn, gdzie miele się pieniądze i obraca zyskami na skalę przemysłową. Przepastna sala, z sześcioma długimi rzędami biurerek, mieści koło stu osób, a mrugające na każdym biurku monitory rejestrują minuta po minucie niespokojną falę wzlotów i upadków na rynkach. Okna są zaciemnione, żeby światło słoneczne nie odbijało się w monitorach, a sufit znajduje się na tyle wysoko, żeby pochłaniał szmer biznesowych rozmów i klikanie klawiatur podczas zawierania transakcji. Mimo to powietrze w środku jest nieświeże, przesiąknięte spalonym, siarkowym zapachem rozgrzanego sprzętu komputerowego, który pracuje non stop, odkąd został zainstalowany, ponieważ moment przerwy lub przestoju byłby momentem, w którym się nie zarabia.

Po obu stronach parkietu widnieje kilka oszklonych biur dla szefów zespołów. Narożne biuro po północnej stronie należy do analityków obsługujących stanowisko sekurytyzacji i świadczy o ich ważnej pozycji w hierarchii korporacyjnej. Analitycy ilościowi to sześciu facetów i jedna dziewczyna, których zadaniem jest zmniejszenie ryzyka w ryzyku za pomocą czarów matematyki.

Ta dziewczyna to Maroushka. Zza swojego biurka Serge widzi ją przez otwarte drzwi: siedzi odchylona na krześle obrotowym, z

nogami na stole i telefonem komórkowym przy uchu. Jest bez butów. I bez rajstop. Jej paznokcie u nóg połyskują jak rubiny. Rozmawia w tym swoim cudzoziemskim bulgoczącym języku, a on mimo woli wsłuchuje się w jej głos, choć powinien koncentrować się na danych, które pojawiają się na ekranach. Nigdy dotąd nie pisał wierszy, ale też nigdy dotąd nikt go tak nie inspirował.

*Księżniczko Maroushko!
Wsluchaj się w Serge'a łkanie!
A naszych serc kołatanie
Od dzisiaj... coś tam, coś tam
Jednością niech się stanie!*

— Cześć, Siergiej! — Zauważyła, że ją obserwuje, i kiwa na niego czterema palcami.

Serge staje w drzwiach.

— Cześć, piękna księżniczko z Ży... — Jak się nazywa to miasto, z którego ona pochodzi? — Dobrze się bawiłaś w piątek na urodzinach?

— Bardzo dobrze, dziękuję. A ty jak się czujesz? Chyba mocno się upiłeś. Leżałeś na podłodze.

— Taa... Jestem trochę zmarnowany. Ale warto było, choćby po to, żeby zobaczyć, jak tańczysz na stole.

— To taniec ludowy z mojego kraju. W Żytomierzu tak obchodzimy urodziny. — Posyła mu całusa i wraca do rozmowy telefonicznej.

— Odłóż tę komórkę. Będziesz mieć kłopoty, jak Timo cię zobaczy.

— Czemu?

Jej nogi są gładkie i kremowe; skrzyżowała je w kostkach, łydki uwypukliły się w miejscu zetknięcia, krągłość kolan skrywa skraj jasnomorelowej spódniczki. D&G? Versace? Zapach jej perfum jest ciężki, piżmowy, dość agresywny — mógłby nawet odpychać, gdyby nie był tak niesłychanie podniecający.

— Nie wolno korzystać z prywatnych komórek w pracy.

— Nie wolno? — Dziewczyna podnosi brew. — W moim kraju to normalne, wszyscy to robią.

— Kwestia bezpieczeństwa... Muszą rejestrować wszystkie rozmowy telefoniczne. Wiesz, ochrona informacji poufnych i tak dalej. — Serge opiera się niedbale o framugę drzwi, z rękami w kieszeniach.

Czy ona widzi, jaki jest wyluzowany pod ironiczną maską magika matematycznego?

— Nie przekazuję żadnych informacji. Dzwonię do mojej biednej matki w Żytomierzu. Ma operację piersi.

— Och, strasznie mi przykro.

— Czemu ci przykro? — Marszczy swoje urocze brwi.

— To znaczy większość ludzi z tego wychodzi. — Serge brnie dalej. — Wskaźnik wyleczeń bardzo ostatnio podskoczył... — Stara się mówić mądrze i uspokajająco, choć jego wiedza na ten temat jest zerowa. — Ale jednak to musi być dla niej ciężkie... dla was obu... czekać, czy nie będzie następnej operacji...

— Nie będzie. Za drogo. — Maroushka wydyma wargi, a czubek jej ślicznego małego noska się unosi.

— Nie macie bezpłatnej służby zdrowia w... w waszym kraju?

— Pewnie, że mamy. Ale nie na operację piersi.

Między rzędami biurek zbliża się do nich Timo Jääskeläinen, nucąc sobie pod nosem. Serge mruga ostrzegawczo i dziewczyna wsuwa telefon do torebki. Timo Jääskeläinen, szef sekurytyzacji, jest Finem, posiadaczem pięknego głosu, wielkiego nosa, idealnego uzębienia i wartego sto tysiaków porsche'a w podziemnym garażu. W soboty śpiewa jako tenor w kwartecie wokalnym i raz w miesiącu jeździ do Helsinek, żeby odwiedzić matkę. Nazywają go Tim Fin.

— Jakieś problemy? — Zagląda przez drzwi, odsłaniając zęby, ale bez cienia uśmiechu. Pachnie płynem po goleniu o silnej woni anyżku i benzyny do zapalniczek. — Czy mnie wzrok nie mylił? Rozmawiałaś przez komórkę, Maroushko?

— Dzwoniła do matki w... w... no tym... — wtrąca szybko Serge. — Ma raka piersi.

— Aha. Okay. — Timo stara się przybrać współczującą minę, ale przychodzi mu to z trudem. — Następnym razem zadzwoń spoza budynku, proszę. Nie stąd. Jeśli ludzie zaczną korzystać tu ze swoich prywatnych komórek, integralność parkietu zostanie zagrożona. Rozumiesz?

Timo oddala się w kierunku toalety. Chodzą słuchy, że ma kłopoty z prostatą. Maroushka znów wyjmuje telefon z torebki i zwraca się do Serge'a:

— Dlaczego ty opowiadasz takie rzeczy, Siegiej? Rak! Jaki rak?

Masz za bardzo nihilistyczne podejście do życia.

— Zdawało mi się, że mówiłaś o operacji piersi?

— Tak, żeby zrobić sobie duże i ładne. Mężczyźni to lubią.

— Ach, no tak, rozumiem.



Serge także niedawno rozmawiał przez komórkę ze swoją matką, chociaż nie o powiększaniu piersi. Kiedy biegł do metra, zadzwoniła, żeby spytać, czy mogą się spotkać, bo ma mu coś ważnego do powiedzenia. Musiał naprędce coś wymyślić.

— Przykro mi, mamó. W najbliższym czasie będę w Londynie, bo pracuję nad... eee... specjalnym projektem z... eee... kilkoma kolegami z Imperial College.

— Fascynujące. Musisz mi wszystko opowiedzieć, jak się spotkamy. Teraz, kiedy Oolie-Anna dostała pracę, mam dużo wolnego czasu. Będę miała dobry pretekst, żeby zrobić sobie małą wycieczkę do Londynu.

Rzecz w tym, iż jego rodzice myślą, że on wciąż jest na studiach doktoranckich w Cambridge. Nie odważył się im jeszcze powiedzieć o swojej nowej pracy. Większość normalnych rodziców, mogłoby się zdawać, byłaby zadowolona, że ich niespełna trzydziestoletni syn zarabia już dziewięćdziesiąt tysięcy rocznie. Ale nie Doro i Marcus. Oni uznaliby, że zdradził swoje szczytne ideały, to znaczy ich ideały, bo Serge sam z siebie nie miał żadnych ideałów — oprócz ogólnie życzliwego nastawienia do całej ludzkości. Ze szczególnym uwzględnieniem kobiet. Zwłaszcza Maroushki.

Zbliżenie: Maroushka Malko, od wczoraj dwudziestoosmioletnia, piękna, wychuchana jedyńca nobliwych nauczycieli akademickich (tak, wymienili już dane personalne, ale jeszcze nie płyny ustrojowe), absolwentka prestiżowego europejskiego uniwersytetu w Ży... — jak tam się to miasto nazywa. Zapisła się na studia doktoranckie z matematyki w University College w Londynie, płacąc za studia z własnej kieszeni. Początkowo pracowała dla agencji sprzątającej biurowce, aż ktoś w FATCA odkrył jej talent matematyczny i dostała tymczasowy angaż jako analityk.

Następne ujęcie: Serge Free, niemal dwudziestodziecioletni, wykształcony w Cambridge, przystojny... cóż, atrakcyjny... cóż,

atrakcyjny, jeśli się lubi zagadkowo uśmiechniętych, niewysokich, chudych mężczyzn w staroświeckich okularach w stylu Buddy'ego Holly. Zaniedbywany w dzieciństwie syn lewicujących hipisów, niedobitek z Solidarity Hall, komuny w południowym Yorkshire, gdzie dorastał pośród przepływających falami dorosłych, dzieci i różnych ulubionych zwierzątek żywych i martwych.

Mimo powierzchownych różnic, kiedy o tym pomyśleć (a myślał o tym często), on i Maroushka mieli wiele wspólnego. Oboje zaczęli pracę w FATCA rok temu. Oboje byli matematykami, oboje zajmowali się opartymi na ryzyku derywatami, oboje byli bystrzy. Siłą rzeczy więc powinni się do siebie zbliżyć. W końcu niewiele par może snuć do poduszki pogawędkę o ciągu Fibonacciego albo kopule Gaussa. Oczywiście o pewnych rzeczach z przeszłości nigdy jej nie powie, choćby o tym, jak poranne przepychanki o ubrania wyzwoliły w nim miłość do modnych ciuchów, a życie na huśtawce ugruntowało pociąg do ryzyka. Chociaż może Maroushka by to zrozumiała, ponieważ dla wszystkich analityków w FATCA ryzyko jest ich *raison d'être*, ich ambrozją, ich narkotykiem z wyboru.

Od zeszłorocznego krachu na rynku kredytowym i upadku Northern Rock ich gra została podszyta nową warstwą niepewności. Nie można włączyć telewizora, by nie zobaczyć panikujących polityków radzących ludziom, żeby nie panikowali, i nadętych ekspertów, mądrych po szkodzie, tłumaczących zawile, jak to się stało, że solidne, zdawałoby się, towarzystwa budowlane przeistoczyły się w kasyna z ograniczoną odpowiedzialnością i zaczęły na prawo i lewo udzielać pożyczek nieodpowiednim ludziom — ludziom, którzy nie mieli pracy albo podawali fałszywe przychody, albo już byli po uszy w długach. Ludziom, którzy w ogóle nie powinni byli dostać kredytów hipotecznych, gdyby nie to, że banki pękały od nadmiaru pieniędzy i trzeba je było w coś zainwestować.

A gdy nauczycieli w średnim wieku i prywatnych dentystów upchnie się razem z bezrobotnymi samotnymi matkami i pracującymi na czarno murarzami, a później podzieli się to na transze wysokiego, średniego i niskiego ryzyka, można skłonić agencje ratingowe, takie jak Fitch, Moody's i Standard & Poor's, do przyznania topowym transzom potrójnego A. W końcu, jeśli nawet ten czy ów z grupy wysokiego ryzyka (bez zarobków, bez pracy, bez majątku — czego się,

do cholery, spodziewali?) nie spłaci kredytu, to przecież nie wszyscy będą niewypłacalni, prawda?

Serge uśmiecha się. W dzisiejszych czasach ironia bardzo się przydaje.

Ludzie są tacy głupi. Nie rozumieją, na czym polega ryzyko. Dają się oszołomić zyskiem rzędu siedmiu, ośmiu, dziewięciu procent. Kto płaci taką kasę bez powodu? A później rząd zaczął dyktować warunki, mówiąc, że to nie jego zadanie wykupywać lekkomyślnych graczy. Racja. Ale wykupili ich tak czy owak, bo zdali sobie sprawę, że nie mają wyboru. Jak to genialnie wyłożył Chicken: „Jeśli jestem winien bankowi dziesięć tysięcy funtów, to mam problem. Ale jeśli jestem mu winien dziesięć milionów, to bank ma problem. Cha, cha”.



Co teraz? Nikt nie wie i dlatego wszyscy są tacy podminowani. Co rano widzi strach w oczach kolegów, kiedy zbierają się na spotkanie w swoich biurach z boku parkietu, starając się analizować zagrożenia, jak króliki w klatce, zbite w gromadę, kiedy lis wybiera się na łowy. Czy rynki pójdą w dół? Powinni obstawiać krótką sprzedaż czy długie kupno? Co się stanie z ich prowizją? Nawet Maroushka jest podenerwowana, choć tego nie okazuje.

Rzecz w tym, że Maroushka uważa się za mądrzejszą od niego. W istocie uważa się za mądrzejszą od wszystkich innych. W zeszłym roku jej prowizja była większa, to fakt. Ale to dlatego, że współpracowała z zespołem CDO przy tej szczęśliwej transakcji z Paribas. Przeważnie jednak idą łeb w łeb, walcząc przeciwko sobie i przeciwko każdemu analitykowi w każdym wyjętym spod kontroli banku w świecie finansów, ścigając się w szaleńczej pogoni za superalgorytmem na wolną od ryzyka superinwestycję, która przyniesie niezmierzone bogactwo i symbolizuje magiczny kamień filozoficzny naszego zmonetyzowanego wieku: nieograniczony potencjał wzrostu.

Kiedy Maroushka była tu nowa, faceci na piętrze — zwłaszcza ci, którzy znali ją z czasów, gdy tu sprzątała — pozwalali sobie na niewybredne komentarze na temat jej cycków, próbowali ją obłąpiać i ogólnie nie szczydzili jej zaczepek, lecz ona wznosiła się ponad to obłoku pogardy. Chodziły plotki, że jest samorodnym geniuszem matematycznym, że przybyła do Londynu, nie mówiąc słowa po angielsku, i nauczyła się języka na lekturze Sherlocka Holmesa, że była

modelką reklamującą bieliznę, że jest szpiegiem. Raz czy drugi umówiła się nawet z którymś z traderów, ale nie było później zwyczajowego obgadywania, jaka ona jest, co robi w łóżku, co kryje się pod tymi obcisłymi designerskimi strojami. Nic. Ani słowa. Cisza.

Kiedy w piątek wieczorem rozpuściła włosy na swoim przyjęciu urodzinowym, to było objawienie. Siedzieli wszyscy w restauracji na West Endzie, w szykownym małym lokaliku niedaleko Haymarket, z antycznymi meblami, niezrozumiałym menu i listą win, których cena zaczynała się od pięćdziesięciu funtów, a kończyła na trzech tysiącach za butelkę. Maroushka była jedyną dziewczyną spośród ich siódemki, do czego musiała się już przyzwyczać. Z całą pewnością nie ustępowała nikomu w jedzeniu i piciu. Wprost trudno uwierzyć, że ktoś tak chudy mógł pochłaniać takie ilości — gdzie to się wszystko podziewało? Ucztowali w osobnej salce i po deserze połały się koniak i wódka. Nagle Maroushka zrzuciła buty, wskoczyła na stół i zaczęła wirować na bosych stopach, błyskając czerwonymi paznokciami na białym obrusie, stąpając ostrożnie między zastawą, klaszcząc w ręce i śpiewając, czy raczej nucąc, w tym swoim dziwnym gardłowym języku. W pewnym momencie dwaj Francuzi z ich zespołu zerwali się i przyłączyli do podrygiwań w rytm starego przeboju Carli Bruni, i wkrótce wszyscy już tańczyli, śpiewali i rozbijali kieliszki, rzucając je przez ramię. Być może narobili też więcej szkód. Niestety, kiedy Serge zaczął prezentować swoje kroki w moonwalku, poślizgnął się na pustej butelce, która toczyła się po podłodze, i runął jak długi, przebijając głową obraz olejny na ścianie. Gdy się ocknął, nikogo już nie było oprócz dwóch zafrasowanych kelnerek, które wpakowały go do taksówki natychmiast, jak tylko udało mu się stanąć na nogi.

Co było dalej? Nie pamiętał.

To był jeden z tych niezapomnianych wieczorów.



Podchwytuje jej spojrzenie przez szklaną przegrodę i posyła jej całusa; Maroushka odwraca wzrok, ale obdarza go cieniem uśmiechu. Jak by to było, zastanawia się Serge, gdyby wziął ją do Doncaster i przedstawił rodzicom, Marcusowi i Doro? Hm. Zapewne sytuacja byłaby z początku niezręczna. Musi ostrożnie przygotować grunt. Pewien problem stanowił fakt, że nie przyznał się jeszcze rodzicom,

że porzucił studia doktoranckie w Cambridge i pracuje teraz jako analityk ilościowy dla brytyjskiej filii międzynarodowego banku inwestycyjnego. A zarabia... cóż, o wiele więcej, niż kiedykolwiek oni zarabiali. Kiedy spotka się jutro z Doro, wszystko jej powie.

Tak, na pewno jutro jej powie.

CLARA: *Wandalizm, siki i klimat w Doncaster*

Pierwszego dnia roku szkolnego, pierwszego września 2008 roku, Clara Free skręca w obskurną uliczkę odrapanych bloków z czerwonej cegły w Doncaster, wrzuca tylny bieg swojego forda ka i cofa się do szkolnej bramy, patrząc w boczne lusterko. Ogląda się przez prawe ramię. Dodaje gazu. Samochód zrywa się do tyłu i wali w bramę. Cholera!

Wysiada, żeby obejrzeć wyrządzoną szkodę, i przeżywa moment gorzkiej satysfakcji. Ktoś inny, zapewne panna historyczka Postlethwaite, vel panna Hippo, zostawił jeszcze większe wgniecenie. Na brzydkiej drucianej siatce, zwieńczonej drutem kolczastym, wisi krzywo tablica z napisem: „Szko Podstawowa w eenhills” (litery „ła” i „Gr” dawno zniknęły). Pod łukowatym napisem widnieje wiejski krajobraz falistych zielonych wzgórz, chociaż w rzeczywistości szkoła jest położona w środku osiedla domów komunalnych w Doncaster.

Parkowanie nie należy do mocnych stron Clary, a tego ranka jest szczególnie rozkojarzona. W gruncie rzeczy ma szczęście, że jeszcze żyje, biorąc pod uwagę fakt, że stłuczka mogła się jej zdarzyć na autostradzie, kiedy prowadziła jedną ręką, jednocześnie czytając list od matki, który przyszedł w porannej poczcie.

*Mam dla Ciebie bardzo ekscytującą nowinę. Marcus i ja
myśliliśmy o tym, żeby się pobrać.*

Hej, co jest grane, rodzice? Po niemal czterdziestu latach —

dłaczego nie zostawić wszystkiego po staremu?



Jej klasa, przesycona zapachem środka dezynfekującego i pasty do podłogi, oddycha cicho, czekając na przyjście dzieci. Clara wyjmuje z torebki pognieciony list, zastanawiając się, dlaczego matka w ogóle go napisała i wysłała zwykłą pocztą. Dlaczego nie zadzwoniła? Może to oznaka jej ogólnego zdziwienia.

*Zrobimy sobie zjazd rodzinny, ściągniemy starą paczkę
z komuny, powspominamy dawne czasy...*

Czyżby zatęsknili za papką z soczewicy? Za zielonymi deskami podłogowymi? Za tunikami z etaminy? Za grafikiem?

...uczczymy nasze życie razem...

Grafik z rozpiską dyżurów — gotowanie, sprzątanie, pranie, opieka nad dziećmi, seks — wisiał na tablicy w kuchni obok listy zakupów.

*Chcielibyśmy, żebyście byli z nami, Ty, Serge i
Oolie-Anna. Ale nie mów jeszcze nic Oolie.*

Ha! A więc to musi mieć coś wspólnego z Oolie-Anną. Na końcu listu małymi literami widnieje dopisek:

*Może udałoby Ci się skontaktować z innymi dziećmi z komuny i też
je zaprosić? Chętnie zobaczyłabym, co z nich wyrosło.*

Oczywiście, matka wyobraża sobie, że ona ma mnóstwo wolnego czasu. W przeciwieństwie do jej brata, Serge'a, który — jako geniusz — jest zwolniony z obowiązków rodzinnych, bo przecież pisze pracę doktorską. Od lat. „Och, Serge jest taki uzdolniony... daj mu tylko trochę czasu”, powtarza Doro. Na miłość boską, jak długo można robić doktorat?

Wciśnięta między genialnego brata a niepełnosprawną siostrę Clara wyrobiła sobie opinię osoby rozsądnej, dobrej organizatorki, kogoś, na kim można się oprzeć. Wszystko pięknie, ale byłoby miło, gdyby

czasem ona mogła znaleźć w kimś oparcie.

Wpycha list z powrotem do torebki, bierze telefon, żeby zadzwonić do Doro, ale rozmyśla się i wysyła SMS-a do Serge'a:

Odezwij się, Soz. Nasi rodzice coś knują.

Po czym idzie do pokoju nauczycielskiego przywitać się z kolegami.



Panuje tu beztroska atmosfera początku roku szkolnego: wszyscy pokazują sobie opaleniznę i zdjęcia z wakacji oraz zasięgają informacji o swoich nowych klasach od nauczycieli, którzy uczyli je w zeszłym roku. Od pana Kenny'ego Clara dowiaduje się, że Jason Taylor jest złodziejaszkiem i źródłem wiecznych kłopotów, Dana Kuciak, Polka, to klasowy kujon, a Robbie Lewis masturbuje się pod ławką. Biedny pan Kenny, wieloletni nałogowy palacz, jest ofiarą świeżo wydanego zakazu palenia na terenie szkoły i kiedy mówi, ręce trzęsą mu się niemiłosiernie. Tak czy owak Clara wolałaby raczej nic z góry nie wiedzieć o swoich nowych uczniach — czasem lepiej wyrobić sobie własny osąd.

Za dziesięć dziewiąta na boisku rozlega się dzwonek. Z wrzaskliwym gwarem klasa szósta F wbiega do środka i dzień pracy Clary się zaczyna.

Przeznacza poranek na zapoznanie się z dziećmi i stopniowo z nieodróżnicowanej gromady wyłaniają się trzydzieści dwie jednostki ze swoimi upodobaniami, marzeniami, skomplikowanymi relacjami rodzinnymi i ukrytymi talentami. Właśnie takie chwile pozwalają jej wierzyć, że ma zarówno najlepszą, jak i najtrudniejszą pracę na świecie.



W południe słońce stoi wysoko na niebie, w klasie robi się gorąco i duszno. Dzieci po sześciotygodniowych wakacjach nie potrafią usiedzieć w miejscu i wyrrywają się na dwór, póki jest ciepło. Clara ma już wyjść do pokoju nauczycielskiego na szybką kawę przed dyżurem na boisku, kiedy do jej stołu podchodzi Jason Taylor. To blady, chudy chłopiec z podkrążonymi oczami i rzadką mysią czupryną.

— Pszepani, zapomniałem pieniędzy na obiad. Mama pyta, czy może mi pani pożyczyć do jutra?

Z bliska uderza ją w nozdrza jego zapach — mieszanina dymu

papierosowego, zjełczałego tłuszczu z frytek i moczu. Wyobraźnia od razu podsuwa jej stereotyp: zaniedbująca obowiązki matka, gruba i flejtuchowata, z rodzaju tych kobiet, które chodzą do sklepu w pizamie. („Matka na zasiłku przepuszcza przeznaczone dla dzieci pieniądze na papierosy i alkohol”).

— Przykro mi, Jason. Wiesz, że mi nie wolno.

— Prooooooszę...

— Nie dostajesz darmowych obiadów w szkole?

— Nie, bo moja mama pracuje w Edenthorpe’s.

A więc stereotypowy obraz jego matki już się zachwiał.

— Co jest, pszepani? Nie wierzy mi pani? — jęczy chłopiec.

Jest naprawdę namolny, ten mały.



Kiedy trzy lata temu zaczynała tu pracę, była pełna wzniosłych idei, jak to przysłużyć się tej biednej społeczności, jak zapali iskierkę, która wzniesie ogień w tych dzieciakach i pchnie je do przodu, do góry, wyniesie z tego obskurnego, otoczonego drutem kolczastym światka. Pod koniec pierwszego tygodnia zasadziła szybko rosnący rdest, mając nadzieję, że się rozkrzewi i pokryje brzydką siatkę przy parkingu, ale nawet to ekspansywne pnącze dało już mniej lub bardziej za wygraną w starciu z wandalizmem, sikami i klimatem Doncaster. I podobnie jak rdest, ona też coraz częściej czuje się pokonana przez miejscowe warunki. Otwiera plastikowe pudełko śniadaniowe i wyjmuje baton czekoladowy, który ma osłodzić jej czas do lunchu. Łamie go na pół i wręcza połowę Jasonowi. Mimo ostrzeżeń pana Kenny’ego Jason jest jednym z tych nieszczęsnych dzieci, które ją rozbrajają.

— Nie mów nikomu, że ci to dałam. A teraz zmykaj.

Jason z wahaniem wtyka batonik do kieszeni. I zanim Clara zdąży się obejrzeć, szybkim ruchem sięga do pudełka i porywa świeżą marchewkę, wystruganą w kształt rakiety.

— Co to jest, pszepani?

Nie czekając na odpowiedź, pochłania raketę z marchewki w trzech kęsach. Przynajmniej ciągle ma własne zęby.

— To marchewka, Jason. Warzywo.

Chłopak łapie się za brzuch i wydaje odgłos wymiotny.

— Och... fuj... zaraz umrę, zatruty warzywami.

Clara mimo woli się śmieje.

— Jeśli umrę, to będzie pani wina.

— Prędeż umrzesz, nie jedząc warzyw.

— Mama mówi, że jak będę jeść marchewkę, spodobam się dziewczynom. — Obdarza ją pożądlwym uśmiechem, odsłaniając zepsute zęby. — Podobam się pani? Bo pani mi strasznie.

Wśród wszystkich trudnych uczniów zawsze znajdzie się jeden, który chwyci ją za serce.



W drodze do domu natyka się na wypadek na M1 i gigantyczny korek. Jest już szósta, kiedy ruch wraca do normy i Clara zjeżdża do Sheffield przy rondzie na Parkway, pod torowiskiem tramwajowym i zjeżdżalnią wodną w parku rozrywki. W porównaniu z odrapanymi blokowiskami w Doncaster, Sheffield jawi się jako olśniewająca metropolia, tętniąca życiem kulturalnym i przepychem. Clara parkuje samochód na swoim miejscu parkingowym, przekręca klucz w drzwiach i zrzuca szkolne buty niczym starą skórę. Nastawia czajnik, zapala jedyne w ciągu dnia papierosa i patrzy przez ukwiecone okno na przechodniów na placu i światła mrugające w wodzie, myśląc o dzieciach ze swojej nowej klasy.

W dzieciństwie wydaje nam się, że świat, w którym żyjemy, jest jedynym istniejącym światem; nie zdajemy sobie sprawy, jak tymczasowe i prowizoryczne jest wszystko dokoła. Jak szybko może się zmienić. Chciałaby wziąć Jasona Taylora na bok i mu to powiedzieć. „Nie martw się — pocieszyłaby go — możesz uciec. Ja na przykład już nie żyję w komunie. Mieszkam w pięknym, wygodnym mieszkaniu w centrum Sheffield, z czystą łazienką tylko dla siebie i z wysokimi, pełnymi kwiatów doniczkowych oknami, które wychodzą na plac z mnóstwem kawiarni i fontann. Pewnego dnia dorośniesz i będziesz mógł wybrać własne życie”.

Tyle że sama nie wie, ile w tym prawdy.

SERGE: *Cappuccino*

Jeden, jeden, dwa, trzy, pięć, osiem, trzynaście... Widmowe króliki nadal tu są, przycupnięte na jego łóżku, kiedy Serge wydobywa się ze snu. Obserwują go z nastawionymi uszami, marszcząc nosy i parskając, jakby chciały go ostrzec przed niebezpieczeństwem. Wylicza w myślach — spacer, metro, spacer, biuro, cześć wszyscy, cześć Maroushka, praca, praca, praca, szybki lunch. I wtedy sobie przypomina: dziś po południu ma spotkać się z Doro.

W normalnych warunkach byłby zadowolony z okazji, żeby oderwać się od komputera i spędzić popołudnie z matką — ale kłopot polega na tym, że jego dwa światy, przeszły i teraźniejszy, są tak różne, tak sobie wrogie, że gdy się zderzą niczym dwie subatomowe cząstki, wybuch może go całkiem unicestwić.

Jak się zmierzyć z tym zagrożeniem? Naciąga kołdrę na głowę i zapada z powrotem w sen.

Króliki zniknęły i błąka się teraz po zrujnowanym, zapuszczonym Solidarity Hall, swoim domu rodzinnym. Jest wczesny rano, dzieci szykują się do szkoły, ich ubrania leżą w stercie na podłodze poddasza. Wszyscy chwytają co popadnie i wyrrywają sobie co lepsze sztuki. Jeśli przegra, będzie musiał iść do szkoły w czymś przyciasnym, dziewczęńskim albo po prostu absurdalnie szkaradnym. Krew pulsuje mu w skroniach. Zostaje z szydełkową tęczową kamizelką w garści. Żołądek kurczy mu się ze wstydu i przerażenia. Głowę ma ciężką jak z ołowiu.

Teraz sen przenosi go w inne miejsce: jest popołudnie i czekają przed szkolną bramą. Robi się późno. Nikt po nich nie przyszedł, więc Clara obejmuje dowództwo. „Chodźcie! Za mną!”. Rusza w zapadający

zmrok, śpiewając *Międzynarodówkę*. Droga jest długa i kręta, ocieniona posępnymi iglakami. Clara zaczyna biec i on też biegnie, starając się dotrzymać jej kroku. Serce mu wali: bum, bum, bum! Z trudem łapie oddech. Dom jest pograżony w ciemności, kiedy tam docierają, a stojący w przedpokoju pracownik elektrowni mówi im, że odcięto prąd. Czyjaś ciotka pochlipuje u podnóża schodów. Wszyscy Dorośli gdzieś zniknęli. Serge otwiera drzwi salonu i widzi, że leżą tam na podłodze, martwi. Krzyczy z przerażenia, a wtedy Doro siada z uśmiechem.

— Tylko odgrywaliśmy zabitych, skarbie. Przyjechali do nas holenderscy sytuacjoniści.

Wszyscy wstają i zaczynają ze śmiechem mówić jeden przez drugiego.

Serge przeciera oczy. Czy to tylko sen, czy to się naprawdę zdarzyło?



Prysznic, kawa, spacer, metro, spacer, biuro, cześć wszyscy, cześć Maroushka.

Godzinę później siedzi na porannym zebraniu z szóstką innych analityków. W głowie ma już styropian, nie ołów, więc sytuacja wygląda nieco lepiej.

W południe Maroushka pochyla się nad jego biurkiem. Ma na sobie żółty zakiet, bardzo krótką jasną płócienną sukienkę i szpilki bez pięt, którymi można by przebijać kocięta.

— Idziesz na lunch, Siergiej?

— Tak. Nie. Sorki, Maroushka. Muszę iść... do dentysty.

— Ojoj! Powodzenia!

Jego matka nawet nie wie, jakiego poświęcenia od niego wymaga. Co więcej, nie wie, że już sam fakt wyjścia na kawę poza budynek może wydawać się podejrzany. FATCA jest samowystarczalnym światem, gdzie pracownicy nie tylko pracują, ale mogą także prowadzić życie towarzyskie, korzystać z siłowni, iść do fryzjera, kupić podstawowe produkty i małe kosztowne prezenty, pożywić się w bufecie albo, coraz częściej w ostatnich dniach, połknąć kanapkę przy biurku — innymi słowy, nie ma żadnego powodu, żeby ktoś wychodził stąd w ciągu dnia.



Serge i Doro spotykają się w pierwszy wtorek września 2008 roku, w Café Rouge, naprzeciwko katedry Świętego Pawła, ponieważ Doro nie zgadza się iść do Starbucksa, twierdząc, że to bastion amerykańskiego imperializmu. Serge nie puszcza pary, że Café Rouge należy do Whitbread Plc, bo chodziliby całe popołudnie po mieście, szukając odpowiedniego lokalu.

Nadal jest ciepło i plac wokół katedry roi się od koszmarne ubranych turystów, wpadających na siebie w trakcie fotografowania wielkiej pozłacanej kopuły sir Christophera Wrena, błyszczącej na tle błękitnego nieba. Nie zdają sobie sprawy, że to iluzja — w rzeczywistości są dwie kopuły, podtrzymywane w środku przez solidny ceglany stożek. Gdyby to matce powiedział, ta zapewne odparłaby, że to jak pozłacany gmach kapitalizmu podtrzymywany niewidzialnym znojem mas.

Doro, niestety, jest również koszmarne ubrana — szkoda, bo to wciąż atrakcyjna kobieta, wysoka, szczupła, o falujących ciemnych włosach przetykanych siwizną i o jasnej cerze. Jednak nikt powyżej czterdziestki nie powinien nosić falbaniastej dżinsowej spódnicy wyszywanej cekinami — właściwie nie tylko powyżej czterdziestki, ale w żadnym wieku. I ta zielona płócienna marynarka mogła być w porządku w czasach swojej świetności, lecz to było jakieś dwadzieścia lat temu. Serge nie ma nic przeciwko modzie retro, pod warunkiem że jest noszona ironicznie, ale boi się, że mama ubiera się tak na poważnie.

— Mam ekscytującą nowinę, Serge. — Pochyla się nad stołem, niechcący zanurza rękaw marynarki w piance na cappuccino i wyciera rękaw chusteczką, rozmazując czekoladowy puder w brązową smugę. — Marcus i ja myślimy o tym, żeby się pobrać.

— Skąd ten pomysł, mamó?

Trudno uznać, że to miłość od pierwszego wejrzenia, bo ona i Marcus zamieszkali razem na długo przedtem, zanim Serge i Clara przyszli na świat. Ale Doro lubi swoje małe niespodzianki, więc Serge unosi brwi i pochyla się ku niej.

— Powiedz mi coś więcej!

Doro zanurza palec w piance i oblizuje. Dzięki Bogu, że nie są we Franco's, gdzie ktoś z pracy mógłby ich zobaczyć.

— Pomyśleliśmy, że byłoby miło zalegalizować naszą miłość po

wszystkich tych latach.

Chociaż Serge jest ekspertem od rzeczy nieprzewidywalnych, zaskakujące przemiany matki nadal zbijają go z tropu. Kiedy żyli w komunie, małżeństwo było postrzegane jako opresyjna, patriarchalna instytucja. A teraz, ni stąd ni zowąd, oczy Doro zasnuwa mgiełka rozrzewnienia.

— Moje gratulacje, mamó. Usidliłaś wreszcie starego capa! Cha, cha!

Na miłość boską, przecież oni są po sześćdziesiątce! Czy ojcu jeszcze w ogóle staje?

— Tak, mamy co uczcić. Zalegalizowanie naszego związku. Awans Clary na dyplomowanego nauczyciela. Pierwszą pracę Oolie. Czterdziestą rocznicę Solidarity Hall. I wkrótce twój doktorat.

A niech to, rozmowa wkroczyła na niebezpieczny teren.

— Ładna marynarka, mamó. Jakiejś znanej marki? — Serge gra na czas, zastanawiając się, w jaki sposób oznajmić jej nowinę.

— Jaeger... — Doro zawiesza głos. — Ze sklepu z używaną odzieżą, oczywiście.

Ma na myśli Oxfam*.

— Ty i twój bzik na punkcie recyklingu! Mamó, chodzi o to, że...

— Wszyscy musimy nauczyć się ograniczać. Mniej marnotrawstwa! Mniej chciwości! Mniej bezrozumnej konsumpcji!

Doro ma długą listę rzeczy, których nie aprobuje, jak konsumpcjonizm, rasizm, wojna, botoks, prezenter Jeremy Clarkson i nienasycone kwasy tłuszczowe. Może dodała już też bankierów; jeśli nie, to tylko kwestia czasu.

— To nie tak, mamó. Gospodarka jest zależna od ludzi, którzy pożyczają i wydają... to tworzy bogactwo.

Wie, że ta szokująca prawda musi brzmieć bluźnierczo dla osoby z jej pokolenia. Dla nich kapitalizm był wcieleniem zła.

— To śmieszne. Jak zaciąganie długów może tworzyć bogactwo? — prycha Doro. — Ludzie, którzy tak twierdzą, z pewnością nigdy nie byli w Doncaster.

To będzie trudniejsze, niż myślał.

— Recykling może być dobry dla środowiska, mamó, ale gospodarka

* Oxfam — międzynarodowa organizacja humanitarna, założona w 1942 roku w Wielkiej Brytanii.

potrzebuje wzrostu.

— Nonsens. Nie możemy trwonić bogactw naturalnych na niepotrzebne rupiecie i produkować gór śmieci na górach długów.

Ma ten krępujący zwyczaj podnoszenia głosu w miejscach publicznych, jakby wzywała wyklęty lud do powstania. Wygłaszanie tyrad jest zapewne jedną z niewielu przyjemności, jakie jej w życiu zostały. W ukośnych promieniach słońca wpadających przez okno drobne zmarszczki nad jej górną wargą wyglądają jak krepina, z głębszymi bruzdami zagniecień od nosa do ust. Najlepsze lata ma już zdecydowanie za sobą. Niedawno stuknęła jej okrągła sześćdziesiątka. Biedna Doro. Starzenie się jej nie służy. Ale komu służy?

— Gdyby wszyscy byli tacy jak ty, mamo, nasz system by upadł.

— Przecież tego właśnie chcemy. Prawda?

— Tak, ale... — Serge uśmiecha się z pobłażaniem.

W braku logiki matki jest coś rozbajającego.

— Jak ci idzie doktorat? — Doro zmienia temat, w ramach recyklingu wrzucając kilka niewykorzystanych saszetek z cukrem do torebki. — Przypomnij mi jeszcze raz, skarbie. Jaki jest temat pracy?

— Wymiar Hausdorffa-Besicovitcha, mamo.

Doro z pustym wzrokiem kiwa głową. Odbywają tę rozmowę niemal za każdym razem. Nigdy nic z tego nie rozumie.

— Teoria chaosu. Wiesz, efekt motyla... Jak drobne wydarzenia mogą spowodować groźne, nieprzewidziane skutki. Na przykład machnięcie skrzydeł motyla w Mozambiku może wywołać tajfun w odległej Tajlandii. Słyszałaś o Poincaré?

— Facecie od królików?

— To był Fibonacc.

— Aha. Zawsze wiedziałam, że jesteś geniuszem, skarbie. Pewnego dnia nazwą twoim imieniem jakieś twierdzenie.

Kiedy był dzieckiem, Doro wciąż mu powtarzała, że jest wybitnie zdolny, i mówiła to z takim przekonaniem, że niemal jej uwierzył, chociaż w głębi duszy uważał, że te wszystkie zadania matematyczne są dziecinnie łatwe i każdy potrafiłby je rozwiązać. To liczydło w głowie, to postrzeganie we wszystkim wzorów uznawał czasem nawet za rodzaj upośledzenia — jak uczulenie na pyłki kwiatowe lub proszek do prania.

— Te twoje badania naukowe, Serge, czy one mają jakieś praktyczne

zastosowanie?

— To narzędzie do przewidywania rzeczy, które są zwykle nieprzewidywalne...

— Jak zwycięskie numery w loterii?

— Coś w tym rodzaju. Tyle że chodzi tu bardziej o epidemie, huragany, trzęsienia ziemi...

— Spodziewam się, że pewnego dnia będziesz bezwstydnie bogaty — zauważa niewinnie Doro.

— Kiedy to nastąpi, wezmę cię na zakupy twojego życia. — Serge uśmiecha się do siebie. To może stać się szybciej, niż matka myśli. — I to nie do Oxfamu, mamo.

— Co masz przeciwko Oxfamowi?

— Nic. Tylko pomyślałem, że może sprawiłoby ci przyjemność...

Doro pochyła się nad stołem i mierzy go krytycznym wzrokiem.

— Co to za połyskliwy garnitur? Skąd go masz? Z pewnością nie z Oxfamu.

Kiedy dostał swój pierwszy czek, poszedł zaszaleć na wyprzedazy w butikach w Shoreditch.

— To Ermenegildo Zegna, mamo, ale kupiłem go na wyprzedazy za mniej niż połowę ceny.

Ściąga usta, jakby nie była pewna, czy ma być zła z powodu marki, czy zadowolona z powodu dobrej okazji.

— I czemu nosisz te ciężkie okulary, skarbie? Nie pasują do ciebie. Wyglądasz jak Buddy Holly.

— O to właśnie chodzi.

— Ale on był wysoki i przystojny, skarbie.

— Mamo...

— Przepraszam. Nie miałam na myśli, że ty nie jesteś wysoki i przystojny. W każdym razie nie, że nie jesteś przystojny, tylko że...

— Nie brnij, mamo.

— Ale w tych okularach wyglądasz...

— Są ironiczne.

— Jak okulary mogą być ironiczne?

— Mogą. Uwierz mi.

Doro odchyła się na krześle i wybucha stłumionym, gardłowym śmiechem. On też zaczyna się śmiać, zdając sobie sprawę, jak bardzo ją kocha, z jej okropnymi ubraniami, zmarszczkami i wesołością. Nic

by w niej nie zmienił — no, może parę rzeczy. Ale w głębi serca wie, że jest synkiem mamusi.

Clara z kolei jest córeczką tatusia. Ilekroć myśli o swojej siostrze, słyszy w tyle głowy echo trzaskania drzwiami. Choć jest tylko trzy lata starsza, nieustannie go poucza, co powinien robić ze swoim życiem. Nie przepuszcza żadnej okazji, żeby dać mu dobrą radę i zawrócić go ze złej drogi. Na przykład: „Matematyka jest taka abstrakcyjna, Serge. Powinieneś zacząć żyć w prawdziwym świecie”.

Przez „prawdziwy świat” rozumie nieuprzedmysłowioną Północ. Uważa się za szlachetną istotę, niosącą oświatę tamtejszym pozbawionym perspektyw dzieciakom, podczas gdy w rzeczywistości pozwala jej to podbudowywać własne ego, okazywać moralną wyższość nad ludźmi wybierającymi inną drogę i perorować o rzeczach, o których nie ma pojęcia, takich jak globalne ocieplenie, moda i kapitalizm. Bóg raczy wiedzieć, jak zareaguje, kiedy się dowie o jego pracy.

Jest nawet dość ładna — wysoka i szczupła jak Doro, ma kręcone włosy Marcusa i zdumiewająco niebieskie oczy — ale odstrasza mężczyzn ciętym językiem. Na dokładkę rzuciła swojego ostatniego chłopaka, całkiem fajnego gościa o imieniu Josh, inżyniera budownictwa, bo zawsze we wszystkim się z nią zgadzał. Z tego, co Serge’owi wiadomo, od roku jest sama — i nic dziwnego.

Clara jest, jaka jest, zapewne dlatego, że była pierwszym dzieckiem w komunie. Urodziła się w 1976 roku i dostała imię po Clarze Zetkin, niemieckiej feministce, która ustanowiła Międzynarodowy Dzień Kobiet. W dniu tego święta posiłki w Solidarity Hall były zawsze wyjątkowo niejadalne, ponieważ „nowi mężczyźni” przejmowali gotowanie i miotali się po kuchni, wrzucając do garnków na chybił trafił różne kombinacje fasoli, soczewicy i warzyw, podczas gdy kobiety siedziały w salonie, głosząc hasła „równoprania kobiet”, jak powtarzała mu dziewięcioletnia Clara, którą dopuszczano do tego grona. Kiedy on się urodził, w 1979 roku, nazwano go na cześć Victora Serge’a, belgijsko-rosyjskiego rewolucjonisty o „lewych poglądach”.

Ich rodzice przeżyli falę radosnego uniesienia na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy wyzwolili się z jarzma konwenansów i zaczęli propagować zupełnie nowy styl życia, muzykę młodzieżową i idiotyczną modę — co zapewne można by porównać

do radosnego uniesienia przy tworzeniu nowego wzoru na zarządzanie ryzykiem i wysyłanie pieniędzy w świat, by przynosiły niewyobrażalne zyski.

Gdyby tylko umiał przekazać te emocje matce.

— Jak mówiłem, mam, sztormy, nawałnice, galaktyki. Wszystkie te potężne siły przyrody...

Ale ona już go nie słucha. Jej uwagę przyciąga kobieta z dużym brązowym pudłem na smyczy, który wypróżnia się na chodniku. Doro stuka w okno. Kobieta patrzy. Ich oczy się spotykają.

— ...te wszystkie siły rządzą się swymi ukrytymi prawami.

Doro znów stuka. Pies nadal się wyteża.

— I nie dotyczy to tylko przyrody. Na przykład giełda...

— To tylko wielka loteria, prawda?

— Właśnie, mam. Ale jeśli analizować to przez jakiś czas...

— Skarbie, ludzie, którzy analizują giełdę, nie przynoszą zwykle nic pożytecznego społeczeństwu i tuczą się uczciwą pracą innych.

W jej oczach pojawia się ten fanatyczny błysk. Jego spowiedź będzie trudniejsza, niż myślał.

— Wiem. Ale jeśli przeprowadzi się porządną analizę, można dostrzec określone trendy i prawidłowości, co...

Kobieta, która ma na sobie różowe legginsy wetknięte w czarne kozaczki, pociąga lekko za smycz, żeby ponaglić psa.

— ...pozwala zastosować tę samą teorię do rynków...

Matka nie spuszcza oczu ze scenki rozgrywającej się na zewnątrz. Może to nie jest najlepszy moment do zwierzeń.

— Spójrz tylko! — wykrzykuje Doro. — Traktują przestrzeń publiczną jak wychodek. Żadnego myślenia o innych.

Kobieta ciągnie mocniej, pies się zapiera i nadal napręża. Serge mimo woli daje się wciągnąć w ten minispektakl, ale próbuje kontynuować spowiedź.

— Pamiętasz Fibonacciego, mam? Faceta od królików? No więc niektórzy używają systemu Fibonacciego...

Jego matka dramatycznym gestem chwyta się za nos, zaciskając nozdrza palcem wskazującym i kciukiem. Pies dokonuje ostatniego wysiłku — i patrzcie, patrzcie! Pod jego zadem pojawia się na chodniku złocisty kopczyk.

— ...do prognozowania, kiedy nastąpi zwrot...

Na pysku biednego kundla pojawia się wyraz satysfakcji. Doro tłucze w okno, ściskając nos drugą ręką. Może i ma rację, ale normalni ludzie tak się nie zachowują, prawda?

— ...choć oczywiście cała ironia, jeśli chodzi o prognozowanie rynków...

Kobieta w różowych legginsach ma strapioną minę. Pies obwąchuje radośnie swoją parującą kupkę złota. Kobieta pociąga za smycz i zaczyna się oddalać.

— ...polega na tym, że gdyby istniała niezawodna prognoza, nie byłoby rynku!

— Stój! — Doro zrywa się z krzesła i wybiega na ulicę, wrzeszcząc na cały głos: — Ktoś może w to wdepnąć! Jakieś dziecko!

Ludzie się gapią. Kobieta w różowych legginsach ciągnie za smycz, ale pudel opiera się, nie mając ochoty rozstać się ze swoim produktem. Doro gestykuje dziko. Tak czy siak, jej zaangażowanie jest godne podziwu. W końcu pies daje się odciągnąć, Doro wraca do kawiarni i opada na krzesło, przed letnim cappuccino.

— Cały świat zwariował. Tylko ja, ja i ja! Nikt nie ma poczucia społecznej odpowiedzialności!

— Uspokój się, mamó.

Kiedy gapie się rozchodzą, Serge zauważa kobietę w żółtym żakiecie wpatrującą się przez okno w ich stolik. Maroushka! Co ona tu robi?

— Poza tym ktoś powinien wziąć ją na bok i powiedzieć, że jest za stara na różowe legginsy!